

ŚWIAT

Nr 27

2. VII 1938

CENA 1 ZŁ

Opisane z H. Zalewską

BIBLIOTEKA PUBLICZNA
I. Wypożyczalnia
Im. Pułaskiego
1938



Barbara Kostrzewska, artystka Opery Warszawskiej, brała ostatnio udział w koncercie na Wawelu, podczas „Dni Krakowa”. Młoda artystka osiągnęła w ubiegłym sezonie operowym ogromne sukcesy, porywając widownię pięknym, o rozległej skali głosem i żywiołowym temperamentem gry scenicznej.

Fot. H. Zalewska



dla rób z cerą polyskurającą
złotna do węgów

ŚWIAT

REDAKTOR NACZELNY LEON CHRZANOWSKI
ROK XXXIII Nr. 27

2. VII. 1938

AXEL.

Zgoda i sabotaż

Nareszcie. Odetchnie z ulgą każdy, kto podsumuje ostatnie decyzje międzynarodowe w sprawie Hiszpanji.

W Komitecie nie-interwencji wszyscy się zgodzili. Anglja, Francja, Sowiety, Niemcy, Włochy — wszyscy, wszyscy zgodzili się i uznali konieczność wycofania „ochotników”. Ci wszyscy stali się koszmarem pokoju, stali się gwoździem przytwierdzającym wieko na trumnie hiszpańskich iluzji zakończenia okrutnej, bratobójczej wojny.

Francja definitywnie i tym razem w sposób przekonujący zamknęła swą południową granicę, uniemożliwiając transport broni. Wreszcie ostatnia pogrożka rządu Barcelońskiego wydaje się dzięki zdecydowanej postawie i perswazji Francji i Anglii unieszkodliwiona. Barcelona zrozumiała, że zbombardowanie przez nią choćby jednego miasteczka włoskiego stałoby się jej końcem. Odwet włoski nie dałby na siebie czekać i tym razem, otwarcie, oficjalnie, z wypowiedzeniem wojny. Na taką decyzję wywołującą podobne skutki, mogli się pisać tylko straceńcy. A rząd z Barcelony, choć, zdaje się, że militarnie po zamknięciu granicy francuskiej znajduje się w sytuacji katastrofalnej, ma jednak jeszcze coś do ocalenia i coś do stracenia. Tym „coś” — jest własne życie. Sprawujący władzę w Barcelonie nie mają samsonow-

skiej ambicji, aby wstrząsnawszy kolumnami gmachu swej władzy zginać pod gruzami wraz z wrogiem. Przeciwnie, mogą przegrać wojnę domową, utracić władzę, ale poco zaraz tracić życie. Za cenę tych czy innych ustępstw mogą sobie oni zapewnić względy i opiekę rządów, którym dziś okażą usefulness. W razie upadku Barcelony, cofnąć się niema gdzie tak bardzo, wówczas pewnego rodzaju protektorat Francji czy Anglii może być bardzo przydatny pokonanym.

Można więc sądzić, że w chwili obecnej niebezpieczeństwo najjastrawsze zostało zażegnane. Ale nie należy się ludzić, że nieszczęsna Hiszpanja zyskała nareszcie pełnię *nieinterwencji* zagranicznej. Nic podobnego. Stała się ona terenem skoncentrowania walki o wpływy w Europie. Przecież od wycofania „ochotników” z pola walk uzależnione jest wejście w życie porozumienia anglo-włoskiego. A od tego znów zależą dalsze rokowania i zbliżenie się francusko-włoskie. Nic dziwnego więc, że pod tym kątem widzenia ze zgody wycofania ochotników nie mogą być zadowolone, ani Niemcy, ani Sowiety. Niemcy — bo tą drogą posuwa się naprzód zbliżenie Rzym — Paryż, no i oczywiście osłabienie osi Rzym — Niemcy, a przynajmniej postawienie Rzymu wobec dwóch życzliwych partnerów. Sowiety ze swej strony

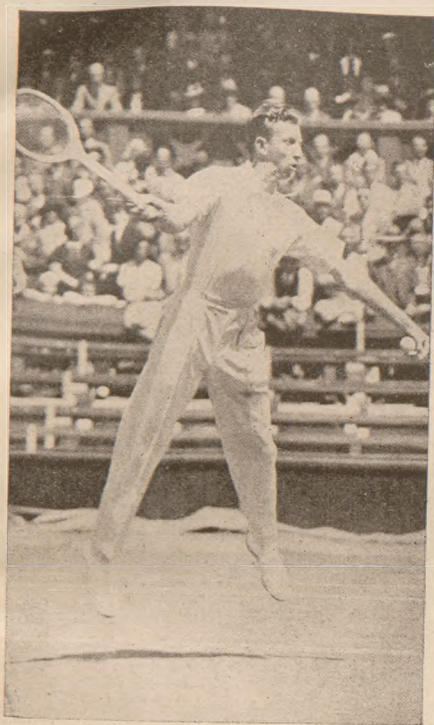
złym okiem widzą przygasanie płonącego rumowiska wojny domowej. Złym okiem widzą zbliżenie Francji i Włoch, czując możliwość zmniejszenia się tarć i wytwarzania porozumienia Włoch, Anglii i Francji. Porozumienia przy którym Sowiety nie są Francji jako sojusznik niezbędne, które osłabiałoby znakomicie pomniejszenie wpływów Frontu Ludowego w wewnętrznej polityce Francji. Nic więc dziwnego, że radosna powszechna zgoda na wycofanie „ochotników” z Hiszpanji musi budzić pewną nieufność. Ale nie bądźmy nieufni, przypomnijmy sobie, że zgoda w Komitecie nieinterwencji powstawała stale co jakiś czas. Sabotowano tylko wprowadzenie jej w życie. Dziś już rozpoczęły się debaty: jak wycofać ochotników? Ile to będzie kosztowało? Kto płaci?

Sowiety już oświadczyły, że nie płacą. A koszt nie jest mały — tylko 350 milionów franków.

Więc zanim ustali się kto, kiedy i jak dostarczy środków na powrotną podróż na wycofanie „ochotników” parę statków jeszcze zostanie. Kość niezgody hiszpańskiej „ochotnicy”, pomimo powszechnej zgody, niejednemu jeszcze staną kością w gardle. Bo około tej zgody, jak chytry podstępny lis koło zgodnego kurnika, krąży sabotaż sowiecki, celujący w pomysły i metody.

Tenis całego świata

Mistrzostwa tenisowe w Wimbledon zgromadziły elitę zawodników, tenisistów i tenisistek z całego świata. Niestety mistrzyni nasza Jędrzejowska, po wspaniałym zwycięstwie nad swą stale niepokonaną przeciwniczką Krahwinkel - Sperling, przechodzi spadek formy i przegrywa niespodzianie z amerykanką Jacobs.

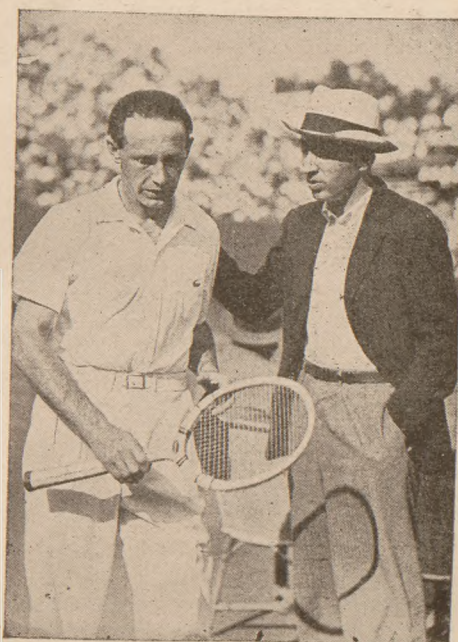


Donald Bougde czołowy zawodnik Ameryki w efektownym skoku.

Poniżej: Z taką elegancją grały w tenisa nasze prababki.

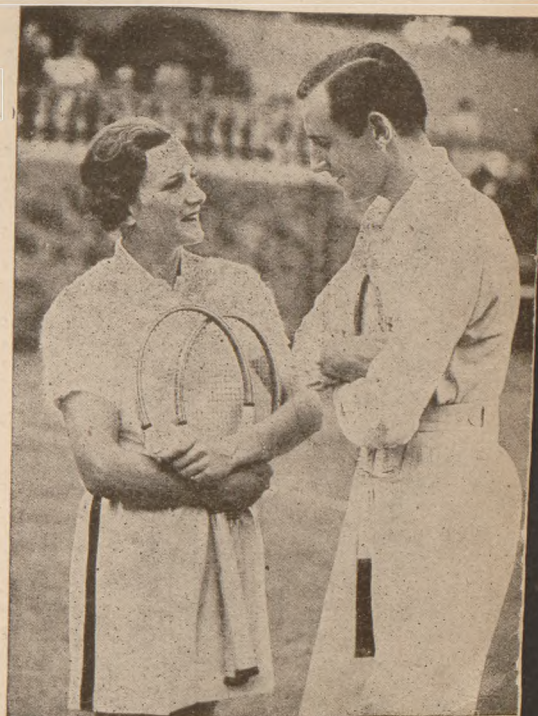


J. Jędrzejowska (po lewej) i Krahwinkel w towarzystwie słynnego tenisisty Plougmana.



Zdjęcie z lewej: mistrz Francji Borotra, w towarzystwie Laco-ste'a.

Zdjęcie poniżej: Zwyciężczyni Jądzi Jędrzejowskiej, miss Jacobs, przyjmuje gratulacje.



P O Ł Ó W

Tryumf oświaty

Ile też wydaje zamożny gospodarz w Polsce na oświatę? Nie ile chce wydać, ale ile *może* i co wydaje? Okazuje się z badań Instytutu Naukowego w Puławach, według publikacji jego nakładem wydanej, a przez inż. I. Curzytkę opracowanej, że na *utrzymanie i kształcenie dziecka na wsi* w gospodarstwie od 10 do 18 ha wydaje się 100 zł. rocznie, to znaczy 27 groszy dziennie!

Trzeba zaznaczyć, że to są gospodarstwa raczej zamożne. A co może wydać i wydaje chłop niezamożny? W takiej rodzinie 27 groszy dziennie, to nie byle co! To wydatek na luksus. Nic dziwnego, że w tych warunkach komisje poborowe załamują ręce nad stanem fizycznym wielu poborowych. A cały wydatek na szkoły jest pod znakiem zapytania skoro powrotny analfabetyzm szerzy się uporczywie i złośliwie, niemal epidemicznie.

Dobrodziejstwo i katastrofa

Dobrodziejstwem rządu „Frontu Ludowego” we Francji było wprowadzenie 40-to godzinnego tygodnia pracy. W rezultacie tej reformy sklepy i magazyny były otwarte 5 dni w tygodniu. Jedne zamknięte były w soboty i niedziele, inne w niedziele i poniedziałki. Obecny rząd p. Daladier skasował tę reformę. Reakjoniści? Zacończą? Nie. Tylko reforma wydała dla pracowników wręcz odwrotny skutek: bankructwa i zamknięcie firm. Zbankrutowały wielkie, olbrzymie magazyny: La Fayette i Samaritaine. Zbankrutowało pozątem 18,000 sklepów.

Te cyfry w samym Paryżu oznaczają utratę pracy przez kilkadziesiąt tysięcy pracowników handlowych. Krótka była radość z nadmiernych wakacji. Za wolne poniedziałki — dziś katastrofa likwidacji posady i zupełnej wolności. Takie reformy zdrowy sens francuski kwalifikuje przysłowiem o „wylewaniu dziecka wraz z wodą z wanny”.

Święte słowa „Słowa”

„Słowo” wileńskie poruszyło niedawno sprawę wydawnictw istniejących u nas. Bez komentarzy przedrukowujemy te słuszne uwagi:



„Nie wiadomo poco i naco rząd wydaje tyle gazet, skoro na opinie publiczną mają wpływ jedynie dzienniki niezależne.

Ktoby kwestjonował ten punkt widzenia, ten niech się dowie, że ci ministrowie, którzy chcą zachęcić publiczność do popierania jakiegoś dzieła, lub wogóle zorjentować opinię w jakimś kierunku, starają się o kontakt z prasą niezależną.

W tych warunkach pozostawanie dziennikarzy rządowych w szeregach organizacji dziennikarskich, zaczyna być kwestją budzącą wątpliwości. Należałoby się jednak zastanowić, czy dziennikarz pisma rządowego jest dziennikarzem, a nie urzędnikiem prasowym. Żadna praca nie hańbi, ale muszą istnieć granice pomiędzy zawodami. Urzędnik biura reklamy Forda może mieć bardzo dużo talentu i znakomicie władać piórem, ale to jeszcze nie będzie dziennikarz, ale urzędnik reklamy. Wartoby się nad tem zastanowić, gdyż rząd i ozon mając nieograniczone środki rozbudowują stale swoją prasę, a więc może przyjść chwila, kiedy w organizacjach dziennikarskich nie prasa niezależna, lecz prasa subsydjowana będzie miała większość i wtedy nie my im, lecz oni nam będą mogli narzucić poglądy co to jest dziennikarz. Pierwszego pięknego poranka może być ustalona reguła, że krytyka rządu „nie licuje z godnością dziennikarza”, lub że wytykanie korupcji prasy „jest przestępstwem przeciwko dziennikarstwu zwróconem” lub czynem „niezgodnym z etyką koleżeńską”.

Wszystko to być może”.

P E R E Ł

Posłowie w mundurach

Na uroczystym — z racji pięciolecia sprawowania rządów przez narodowych socjalistów — posiedzeniu gdańskiego Volkstagu, wszyscy posłowie niemieccy pojawili się w mundurach organizacji narodo - socjalistycznych. Posłowie w mundurach to wielkie uproszczenie prawodawcze. Mundur obowiązuje. Mundurom można przewodzić. Mundury świadczą o jednolitości. Jeden mundur, jedna większość. Znają komendę. Krzyknie ktoś „habt acht!” i już budżet, jedność, braterstwo, entuzjazm!

Bywały sejmy nieme. W Gdańsku są mundurowe. A no, cóż, postęp, motoryzacja.

Chyba omyłka

Czytamy w jednym z pism codziennych, że ostatnio zwiększyła się znacznie liczba byłych ministrów, pobierających emeryturę ze skarbu. Pragmatyka służbowa przyznaje emeryturę ministrom, którzy bez przerwy byli na stanowisku dwa lata. Podobno wśród nowych emerytur znajduje się b. minister sprawiedliwości Czesław Michałowski.

Pogłoska ta musi być omyłką, p. Michałowski pełni funkcję pisarza hipotecznego. Posada ta ma być wcale dobrze uposażona. Nie pobiera więc on zapewne emerytury, mając to nienajgorsze stanowisko. Chodzi tu pewno o prawo do emerytury. Nie ulega wątpliwości, że jako tak dobrze uposażony pisarz hipoteczny p. Michałowski rzeknie się swej emerytury nie chcąc obciążać skarbu.

Chroń nas, Boże, od przyjaciół

Edward Fiedler postanowił popularyzować w Polsce postać min. Goeringa. W tym celu wydał książkę p. t. „Herman Goering, Jego życie i czyny”.

Moglibyśmy jak w „Panu Jowialskim”, zawołać „znamy, wszyscy, znamy”. Ale okazuje się, że „nie znamy”. Pan Fiedler zasypuje nas bowiem szczegółami tak realnej, ważkiej wartości, że doprawdy zachwyty zapiera nam dech. Kiedy otrząśniemy się z pierwszego wrażenia, to dopiero możemy stwierdzić głębię podobnych, rewelacyjnych spostrzeżeń jak np.

„jedyną jego przyjemnością jest bujanie w przestworzach na swym wielkim bojowym samolocie lub polowanie w górach na kozy“.

Nic dziwnego — lotnik i łowczy! I to niebylejaki lotnik, potrafi on całą godzinę wisieć do góry nogami, głową na dół! Z tym niebezpieczeństwem, jak podaje p. Fiedler poprostu igra, nie bacząc na skutki. Oto jak opisuje Homer Goeringa: „Goering wychyla się z aeroplanu całym swoim ciałem (*niechby spróbował cudzym! — przyp. nasz*), obejmując nogami przednią część siedzenia obserwatora i zwiśsiwszy głowę na dół z ciężkim aparatem w ręku, dokonywa zdjęć w pionowej pozycji. Trwa to godzinę czasu“.

Krew nie zalała ani pilota, ani zdjęć, ani usłużnego entuzjasty. Godzinę czasu głową na dół, i nic! Rekord olimpijski. Podobłoczny!

Trzeba poprostu podziwiać autora tego i innych opisów, jak on to plastycznie, dokładnie widział, słyszał i uwiecznił. Bo oto, jak zamalowany łowca kóz, zdobywa szczyty podniebne, według słów p. Fiedlera: „Goering siedzi na oklep na wzgórzu (*trudno wymagać, żeby taszczył ze sobą siodło*). Prawa noga unosi się o 300 metrów ponad Technitzkeesem, lewa 1000 metrów ponad strasznym gletcherem wewnętrznego Glocknera. (*Dobrze, że nogi nie mają oczu, bo by zapewne dostrzegłszy tę różnicę głębin, nad którymi bujają, dostały zawrotu... głowy*) „Do tych wyczynów — dodaje autor — trzeba mieć opanowane nerwy“. Istotnie, do czytania równie osobliwych życiorysów, wydawanych po polsku — też. Bujanie w obłokach młodych poetów jest niczem wobec podobnych bujań w historii. Takie pochwały są niebezpieczniejsze niż wrogie krytyki. „Opasnieje wraga“ — powiedzianoby przed wojną w Warszawie, o takiej... grzeczności autorskiej.

Dziwolągi południowe

Wśród ludności o temperamentie i umysłowości południowej, zdarzają się objawy, zupełnie dla nas niezrozumiałe. Tak np. objawy religijnej weneracji wśród ludności Sycylii, Korsyki, Hiszpanji, prymitywizmem swym u nas mogłyby razić, a nawet robić wrażenie obraźliwych, gdyby nie cechowała ich prawdziwa, entuzjastyczna, choć wręcz pierwotna wiara. Nierzadko można widzieć na

Sycylii i południu Włoch piękne plakaty, zapowiadające: „dziś na cześć protektorki naszej parafii świętej X wspaniałe, wyjątkowe fajerwerki!“

Oto jaki fakt miał miejsce ostatnio w Saragossie, gdzie słynie na całą Hiszpanję Madonna z Pilar. Dzięki Niej, według wierzeń ludu, Saragossa ocalała za czasów Napoleona. Niedawno kiedy wojska narodowe w 1936 roku zajęły Saragossę, nadały słynnej Madonnie godność rangi kapitana armji narodowej. Ponieważ do tych tytułów przywiązywany jest zwyczaj przystrojania posągów lub obrazów w kostjum, mundur lub oznaki odpowiedniej rangi, więc obecnie, gdy nadano świętej i czczonej Madonnie nową, wyższą, rangę „kapitana generała“ — ludność sprawiła nowy, wspaniały, z orderami i odznakami uniform dla swej Patronki.

Dopiero teraz

Prasa codzienna z dnia 21 czerwca donosi, iż prezes P.A.L.-u senator Sięroszewski zgłosił swe przystąpienie do Koła Parlamentarnego O. Z. N.

Dopiero teraz? Na lato? Wolne tempo decyzji? Symptom najbliższych wydarzeń? Symbol czy dołychezasowe zapomnienie.

„Rasa idzie przodem“

Czystość rasy, pełna krew, ma dziś powodzenie nie tylko w Mokotowie. Wyznawcy i apostołowie rasizmu tę „ocenę“ postavili jako naczelną walorów obywatelskich. Rasa z rasą pod rękę wali przodem. Aliści, mały dysonans. Któż niesie te hasła jak kagańce objawienia przed narodem, jak płonące pochodnie racjonalnego nacjonalizmu? W Rumunji p. Codreanu, wódz żelaznej Gwardji, wołał, zachęcał, przekonywał że „Rumunja tylko dla Rumunów czystej

krwi!“ I cóż się okazało? że on, wódz, hasłodawca niema ani kropki krwi rumuńskiej. Ojciec, Zelea Żyliński był synem Polaka żylińskiego, ożenionego z Madziarką, Agapią Anterową. Matka zaś była czystej krwi Niemką — Elizą Brannerówną z domu. Z tej krwi wyrósł twórca i krzewiciel rasizmu rumuńskiego. W najlepszym razie narodowo biorąc — neofita.

Na Węgrzech hasło „Węgry dla Węgrów“ rzucił i rozpowszechnił p. Szalassi. Jeden z posłów madziarskich, Desider Sukyok, odkrył, że „wódz“ nazywa się naprawdę Selosan i jest synem niemieckiego wiedeńczyka, którego przodkowie byli ormianami z Siedmiogrodu a babka była słowaczką. Wreszcie Konrad Heinlein — sam Heinlein, twórca całego sudeckiego konfliktu, miał babkę czystej krwi czeszkę — Dworaczkównę. Austrijski minister Seyss - Inquart z pochodzenia sudecki Niemiec, ma dwóch przodków czechów, a ojciec jego nazywał się Zajic, po polsku Zając. Te rewelacyjne informacje (podała je znacznie obszerniej katowicka „Polonia“) wykazują, iż ideolodzy rasizmu, są w znacznej mierze neofitami politycznymi i w myśl przysłowia chcą być „plus catholiques que le Pape“.

Codreanu na jakiś czas został wycofany z obiegu, Szalassi - Selosan cofnął się nieco w cień, Heinlein - Dworaczek jeszcze króluje i przoduje. Ale już Seyss - Inquart i jego rasiści wiedeńscy idą zdecydowanie do tylnych szeregów... władzy. Nie wszystko złoto co się świeci.

Bony książkowe w Anglii

W Anglii utarł się nowy b. pożyteczny zwyczaj. Zwyczaj dawania bonów książkowych jako prezentów na uroczystości rodzinne. Bony te w artystycznej formie wykonane, dają prawo do wyboru książki w dowolnej księgarni. W ten sposób znika kłopot obdarzającego, czy wypadkiem nie obdarowuje drugim egzemplarzem jakiejś książki. Daje bon za szylinga, dwa, pięć, funt, zależnie od woli i możliwości. Bonów tego rodzaju wydano w roku ostatnim 227,418. Ówczere miliona osób ofiarowało książkę jako prezent. I to tylko drogą bonów. Ci, którzy kupowali książki wprost, statystyką nie są objęci.

Obywatel Zero.



Z Ł O T Y Ś R O D E K *)

(Dokończenie).

Florencja wydała mi się miastem wymarzonem dla urzeczywistnienia mych zamiarów. Ulice schludne, równe i ciche: od czasu do czasu ożywia je czub jakiegoś ogrodu, wychylający się zza muru; tło z zielonych pagórków zamyka je w oddali, jak radosny cel. Tu i owdzie, w paru ograniczonych punktach, życie miasta jest bardziej natężone, zawsze jednak bez gwaru; po dziesięciu krokach do niego docierasz, skręciwszy w inną ulicę zostawiasz je za sobą, wpadając zaraz w najdoskonalszą ciszę. Jest to złoty środek między rozproszoną i nerwową wytwornością wielkiego miasta, prostacką pokorą małej miejsciny, a rozległością zanadto już odludną szczerej wsi. Spokojna aktywność, odpoczynek wypełniony kontemplacją i wspomnieniami, składają się na życie tego miasta — takie, jakim być miało wyśnione życie mego ducha, do którego od tak dawna dążyłem daremnie.

Chodziłem codziennie późnym popołudniem na parę godzin do czytelni Vieusseux, spędzałem tam czas na przeglądaniu gazet i czasopism i przyglądaniu się spokojnym bywalcom tego miejsca: czasami koło szóstej, w porze największego ożywienia, przesiadywałem w sali, gdzie wydawano książki, obserwując panie, które tu przychodziły z lokajem, i rozszezbicane omawiały katalog z cierpliwymi rozdawcami lektury; były to przeważnie cudzoziemki, wytworne w swych jesiennych kostjumach. Doczekać się tej godziny było dla mnie poniekąd problemem. Szedłem w południe do restauracji, potem ze swymi współbiesiadnikami do kawiarni. O drugiej wszyscy mnie opuszczali, bo byli to ludzie wolnych zawodów albo urzędnicy. Dużo spacerowałem.

Ale przebywanie w restauracji czy kawiarni, spacerowanie, chodzenie do czytelni — zauważyłem to wkrótce — nie mogło wypełnić dnia człowiekowi inteligentnemu i mędrcom. Wieczorem znów z konieczności wracałem przeważnie do tej samej kawiarni, z tymi samymi współbiesiadnikami. Którzy zresztą zaczęli działać mi na nerwy. Czułem, że ich poglądy na życie zanadto są różne od moich, że mają oni potrzeby wewnętrzne i zewnętrzne zupełnie innego rodzaju. Zjeżdżały ambicje i mizerne troski, które kierowały i regulowały wszystkie ich całodzienne poczynania, stanowiły jedyny temat ich rozmów, i były podłożem wspólnym wszystkim ich umysłom, co zresztą jest niezbędne dla zainteresowania rozmową. Ja pozostawałem cokolwiek na uboczu. Uważali mnie poniekąd za bogacza, czyli za obcego; a znówu ludzie bogaci byliby mnie uważali za obcego i gorszego od siebie. Być samotnym pośród cudzego ży-

cia jest rzeczą przyjemną, ale nie być z niego wygnanym albo wykluczonym.

Prowadząc odważnie dalej badanie tego stanu rzeczy, odkryłem wkrótce prawdę zgola niespodziewaną: oto owe zjeżdżały ambicje, owe mizerne troski stanowiły jednak — właśnie one nie co innego — jedyną rację bytu tych ludzi i powód ich zainteresowania życiem; były dla nich szkieletem albo, jak mówi Nietzsche, kręgosłupem. Ci ludzie w swojej przeciętności zredukowali własne życie do takiego nagiego szkieletu: kto inny, głębszy mędrzec, byłby umiał ów szkielet otoczyć odpowiednio ciałem.

Sprawiedliwe przeciętne pojęcie o życiu powinno być takie: wiedzieć, że jest ono niczem, ale mieć możność szacowania go tak, jakby jednakże było czemś. Czynnikiem, z którego zrodzi się ów szacunek, nie jest oczywiście sam w sobie nigdy czemś dostojnym i głębokim, ale powinien być ceniony ze względu na tę swoją przedziwną właściwość.

Tego właśnie czynnika — zmuszony byłem to przyznać — brakowało mi jeszcze do osiągnięcia mego idealnego celu. Moje podstawy teoretyczne były niewzruszone; pozostawało rozwiązanie wspomnianego zagadnienia natury praktycznej, trudniejszego od innych rozwiązywanych poprzednio i bardziej od nich dziwnego. Znaleźć zajęcie, powiedzmy poprostu: pracę. Ktoby się był domyślił tej mojej nowej troski, nazwałby mnie warjatem, albo by sądził, że szukam pracy przez chciwość. Tymczasem było rzeczą nieodzowną, aby ta praca stanowiła dla mnie konieczność. Praca zbyt kowna, prawie rozrywka, nie byłaby się przydała na nic, i nawet bym jej nie ścierpiał! Oto trudność: znaleźć coś, coby w moim życiu nosiło znamiona konieczności materialnej.

Droga była tylko jedna. Natychmiast za sobą popaliłem mosty. Pospieszyłem do Rzymu, udałem się do adwokata mojej żony i do niej samej, zdałem rachunki z mego administrowania, z posagu, ze sprzedaży willi. Zwróciłem każdą rzecz, i w sposób bardzo przyjazny przypieczętowaliśmy naszą separację pieczęcią urzędową.

Powróciłem do Florencji. Nie posiadałem już nic; gdybym nie znalazł pracy, nie miałbym z czego żyć. Znalazłem zajęcie w pewnej firmie wydawniczej, za dwieście lir miesięcznie, i przyjąłem je z wielkim rozradowaniem.

Zajęcie moje składało się z rozmaitych czynności, jako to: poprawianie starych włoskich przekładów ze starych zagranicznych powieści, dla odświeżenia ich wyglądu; skracanie powieści za długich i podłużanie powieści za krótkich, dla pewnej serji beletrystyki popularnej; korekta; pisanie adresów. I parę

*) Nowela ze zbioru „Sette savi“.

innych w tym rodzaju. Praca spokojna i bez wstrząsów. Wszystkiego sześć godzin roboty, trzy rano i trzy popołudniu. Z konieczności wyprowadziłem się z mego mieszkania przy Alei Małgorzaty i wynająłem pokój bliżej śródmieścia.

Zaledwie zdążyłem się w nim zakwaterować, zdziwiło mnie pewne wspomnienie, pewne podobieństwo: pokój ten w sposób niezwykle przypomniawszy mi dawny pokój na ulicy Capo le Case w Rzymie. To samo żelazne łóżeczko ze złoconymi arabeskami i okrągłym obrazkiem Świętej Rodziny u wezglowia; ta sama żelazna obdrapana umywalnia, nakryta do samej ziemi ręcznikiem rozłożonym na miednicy; ta sama dębowa komoda, poczerniała ze starości, z czterema szufladami — a wszystkie bez sztyldzików przy dziurkach od klucza; te same krótkie firaneczki w oknach... Podobieństwo wręcz przerażające z pokojem z przed lat dwunastu, kiedy byłem urzędnikiem Izby Skarbowej!

Teraz też byłem urzędnikiem, jak wtedy. Cóż robię, na miłość boską? Takie rozmyślenia i takie pytania stały przedemną z natrętną wyrazistością czwartego czy piątego ranka po wprowadzeniu, w chwili gdy się goliłem ze zwykłą starannością. Przerwałem w połowie tę operację i zacząłem się zastanawiać.

Byłem urzędnikiem, jak przed dwunastu laty; mieszkalem sam, tak jak wtedy, w pokoju który był do tamtego bliźniaczo podobny. Wykonywałem i teraz pracę bezimienną, która mnie wcale nie interesowała, ani sama w sobie ani w swoich skutkach. Co miesiąc miałem otrzymywać określoną pensję. Tylko mój zwierzchnik zwał się wydawcą, zamiast, jak tamten naczelnikiem wydziału — to wszystko. A odznaczony był Krzyżem Zasługi tak jak tamten.

Cóż więc robię, na miłość boską? I co robiłem dotąd? Czyż nie kierowałem dotychczas swego życia z trudem, roztropnie i starannie, drogą obmyśloną ku określonej celowi, za przewodem niezachwianej teorii?

I oto teraz, u kresu tych wysiłków, patrzę na całkowite i oczywiste podobieństwo mego dzisiejszego życia z życiem ówczesnym, z przed dwunastu lat!

Wyjaśnienie tego zagadnienia ukazało mi się dopiero w kilka godzin później. Teraz było już bardzo późno. Ogoliłem się spiesźnie, zatroskany: pobiegłem pędem do biura. Nie rozumiałem ani słowa z powieści, której korektę właśnie robiłem; chciałem zostać jak najprędzej sam, aby się ponownie dobrze zastanowić się nad swoimi sprawami.

Poszli sobie wreszcie wszyscy. Ani myślałem się stąd ruszyć. Zostałem sam w wielkiej ciemnej sali. Ściany dookoła okryte były aż do sufitu czarnymi półkami. Sala była zastawiona pośrodku trzema wielkimi stołami, pełnymi gazet, plakatów, broszur, i arkuszy korekty. Moje miejsce było przy małym stoliku wcisniętym w kąt, we framudze okna.

Pogrążony w tym chłodnym półmroku, zacząłem raz jeszcze przebiegać myślą całą drogę mego życia. Rozmyślając o tem, zdrzemnąłem się nieco, potem usnąłem na dobre. Obudziłem się w godzinę później, pogodny. Wyszedłem na obiad: o zwykłej porze wróciłem do pracy.

Czułem, że na dzień nowych wydarzeń osiadło, po wstrząsach moich badawczych myśli, teoretyczne wyjaśnienie którego szukałem: spoczęło tam w głębi, w mojej duszy, jak osad na dzień płynu, który się przestało potrzasać. Byłem więc pogodny, mając pewność, że jak tylko zostanę w spokoju i samotności, będę mógł z największą łatwością zebrać ów cenny osad i poddać go badaniu.

Ku zachodowi zostałem wreszcie sam i wyruszyłem na spacer. Spacerując, znalazłem rzeczywiście całkowite wyjaśnienie tej sprawy. Przypadek zaawiódł mnie nad rzeczkę Mugnone, może właśnie tam, skąd wracał Calandrino, obładowany kamieniami, łudząc się, że znalazł Elitropię, za co został srodze poturbowany. Rozumowanie moje było pewniejsze i mniej niebezpieczne od Elitropii, i cenniejsze, bo wprowadziłem nie stawałem się niewidoczny dla innych, zato byłem coraz widoczniejszy i zrozumialszy dla samego siebie — rzecz niezmiernie rzadka, czynnik do szczęścia niezbędny. Oto jak rozumowałem:

„Działając dotychczas według wszelkich przepisów rozsądku: ani teoria ani praktyka mego życia nie szły w błędnym kierunku. Nastąpił tyfko, to prawda, pewien nawrót ku przeszłości, ale nawrót potrzebny i opatrnościowy. Moje przerażenie dziś rano było niemądre.

„Wiedziałem, że szczęście polega na błogostanie umiarkowanym. Nie można go przeto osiągnąć przez nieskończony szereg dodatków, uzupełnień, ani zdobywszy, z rodzaju tych, które nazywamy dobrami doczesnymi. W pewnej chwili nastąpił początek omyłki, w kierunku nadmiaru. Idąc ciągle naprzód po drodze szczęścia, przekroczyłem prosto ów złoty środek. Przekroczyłem — wcale tego nie zauważywszy. Zdrowy instynkt, nieomylny rozsądek i niezbędny łut szczęścia zawróciły mnie z powrotem, choć sobie sam narazie nie zdawałem z tego sprawy. Kiedy to nagle zauważyłem, zdziwiłem się dość głupio.

„Otóż, zastanawiając się nad swoim obecnym położeniem, widzę oczywistą oznakę, że ów krok wstecz dopełnił się w sposób opatrnościowy. Dzisiejsze moje położenie jest tylko pozornie identyczne z położeniem z przed lat dwunastu, kiedy wstąpiłem do Izby Skarbowej i zamieszkałem przy ulicy Capo le Case. Istnieje pewien punkt, co do którego moje dziś i moje wówczas różnią się zasadniczo. Wtedy — położenie moje było, jak to mówią, wyjściowe: mogłem po tej drodze iść wyżej, mogłem na przykład zostać naczelnikiem wydziału, mogłem być automatycznie wciągnięty w pewne środowisko, jaknajbardziej sprzeczne z całą moją teorią o szczęściu. Teraz, tutaj — nie. Tu niema niebezpieczeństwa „karjery“. Niema groźnej możliwości, aby moje obecne stanowisko doprowadziło mnie, w taki czy inny sposób, do tak godnego pożałowania pomnożenia dóbr, które mnie już raz pociągnęło poza złoty środek błogostanu umiarkowanego.

„Oto co pozostaje ustalone i niewzruszone: że w sposób opatrnościowy cofnąłem się ku złotemu środkowi na drodze, na której posunąłem się zadaleko. Teraz już jestem zabezpieczony przed ponowną omyłką.

„Rozważyć jeszcze należy jedną rzecz: czy złoty środek jest właśnie w tem miejscu, do którego teraz dotarłem, czy też powinienem cofnąć się jeszcze bardziej“.

Zacząłem przeto skrupulatnie i szczegółowo rozpatrywać swe obecne życie, aby wyłowić jakiś znak, któryby rozstrzygnął moje wątpliwości. Początkowa moja teoria, długoletnie doświadczenie i ostatnie upomnienie losu zgadzały się najzupełniej w jednym punkcie: upewniały mnie jednomyślnie, że czynnikiem wrogim roztropnej szczęśliwości są wszelkie rzeczy zbędne, jako że niepokoją umysł i ograniczają swobodę myśli i życia.

Od tej przeto chwili roztoczyłem jeszcze pilniejsze baczenie nad wszelkimi swymi poczynaniami i uczuciami, i postanowiłem: przy jakimkolwiek niepokoju czy wzruszeniu, któreby wypływało z rzeczy, uznanej przezemnie za zbędną — przecinać sprawę radykalnie, usuwając przyczynę zła, t. j. ową zbędność.

Dni moje stały się nieustannem, pasjonującym czatowaniem.

Wstawałem zwykle o siódmej; goliłem się i ubierałem z wielką starannością; pracowałem u wydawcy od dziewiętej do dwunastej i od trzeciej do szóstej. Na obiady chodziłem do skromnej jadłodajni, gdzie mój zawód quasi — wydawniczy zjednywał mi wielkie poważanie. Bywali tam przeważnie studenci, a także drobni urzędnicy rządowi i magistracy. Ale rozmawiałem z nimi niewiele. Nie odczuwałem już takiej jak dawniej potrzeby towarzystwa. Osłabło też moje poprzednie upodobanie do spacerów. Nawet niedużo czytałem. Spędzałem wolne godziny przeważnie w najodludniejszym kąciku pewnej spokojnej kawiarenki, paląc papierosy i rozmyślając. Zetknięcie z ludźmi wzbudzało we mnie wstręt. Gdy ktoś, przechodząc, potrafił moją nogę i powalał mi obuwie, czułem się naprawdę nieszczęśliwy. Jeszcze mi zależało na zachowaniu pewnej wytwornej schludności. Nie przez próżność, nie dla ludzi: dla siebie samego.

To właśnie stało się pierwszą rzeczą, na którą przed innymi zwróciłem uwagę z racji drobiazgowych badań, które teraz przeprowadzałem nad sobą i nad swoim stosunkiem do szczęścia. Pewnego ranka wybuchnąłem gniewem na praczkę, kiedy mi odniosła kołnierzyki niedosć nakrochmalone. Po jej wyjściu byłem jeszcze ciągle podrażniony. Udałem się do pracy i od czasu do czasu lekko palcami dotykałem kołnierzyka, aby sprawdzić czy już się zgniótł albo załamał. W pewnej chwili spostrzegłem, że jestem poprostu śmieszny.

Moje rozdrażnienie z tak błahego powodu było niezaprzeczenie czemś antyfilozoficznym, czemś niegodnym człowieka, który już w sobie wypracował tyle doświadczenia i tyle mądrości dla urzeczywistnienia egzystencji szczęśliwej, wolnej od trosk nieistotnych. Stąd wypłynął wyrok śmierci na moją elegancję. Nie goliłem się już tak często, nie trwoniłem cudownych godzin rannych na doprowadzanie do porządku i szciotkowanie ubrania z najdrobniejszych pyłków. Spałem sobie teraz o godzinę dłużej, albo leżąc w łóżku paliłem z rozkoszą papierosy. Ubrać się, umyć w pośpiechu, wyczyścić sobie obuwie — wystarczało. Bo obuwie było jeszcze ostatnią kokieterją, której nie chciałem się wyrzec. Pewnego dnia po deszczu, kiedy zamierzałem przejść z jednego cho-

dnika na drugi, już byłem zaniepokojony kilkoma odpryskami błota, które szpeciły czubki moich lśniących bucików; zastanawiałem się więc nad koniecznością nadłożenia drogi dla uniknięcia kałuży, gdy wtem ujrzałem małego ulicznika, który w niej tkwił beztrzesko, w samym środku. Stamtąd strzelał sobie z procy do urojonych ptaków, których lot on jeden widział w powietrzu. Właśnie to miejsce wydało mu się najdogodniejsze, i czuł się tam doskonale. Mały ulicznik był wyższy ponad błoto, ja nie. Zawstydzilem się i przeszedłem z determinacją. Od tego dnia już i obuwia nie poświęcałem niepotrzebnych myśli i starań.

Wkrótce zdobyłem dowód, jak rozumne było wyzreczenie się tych objawów próżności. Wiadomo, że co najrozumniesze, najłacniej wywołuje naganę ludzi pospolitych. Mój zwierzchnik był to najpospolitszy w świecie przemysłowiec, bynajmniej nie filozof: całe życie głupio spędzał na niezmordowanej pracy, dniem i nocą, dla powiększenia swego majątku, swojej sławy, swojej władzy, przyczem oddalał się coraz bardziej — ja jeden wiedziałem to dobrze — od prawdziwego szczęścia. Ten człowiek nie zdobył się na odpowiednią ocenę ostatnich plodów mej filozoficznej mądrości, i, wezwawszy mnie do siebie pewnego dnia, surowo mnie zgromił za to, że się ubieram niedbale, w sposób przynoszący ujmę godności jego firmy.

Nie odpowiedziałem ani słowa. Ale ta perora oburzyła mnie ponad wszelką miarę.

Był to zamach na moją filozofję, było to godzenie w samą podstawę mej mądrości, stawianie wrogich przeszkód mojemu pracowitemu poszukiwaniu istotnego dobra. Właśnie gdy prowadziłem tak staranne i przezorne badania i realizację ograniczeń i wyrzeczeń, koniecznych dla mego szczęścia — ten człowiek chciał przemocą stawiać mi jakieś przeszkody!

Zastanowiłem się, czy lepiej ustąpić mu w niektórych szczegółach, czy poszukać innego zajęcia. Zauważyłem natychmiast, że te wątpliwości były nierozumne.

— Jest aż nadto oczywiste — odparłem — że każdy zwierzchnik znajdzie takie czy inne zarzuty czy argumenty przeciwko moim filozoficznym dociekaniom. Ale czemuż — zapytałem sam siebie — czemuż to człowiek opanowany jest żądzą narzucania sobie zwierzchnika, posiadania stałego zajęcia, posady?

„Bo kupuje sobie za to pewność swego utrzymania na jutro, na tydzień następny, na przyszłe miesiące i lata. Zbyt kosztowna to pewność. Na szczęście. wiecznie czujna błogosławiona filozoficzna teoria znajduje tutaj nowe, właściwe zastosowanie: pewność jutra jest jedną z tych rzeczy zbędnych, które już poprzednio zakwalifikowałem jako przeszkody na drodze do błogostanu umiarkowanego i do spokojnego szczęścia“.

Zaledwie zdążyłem odkryć, że pewność jutra jest rzeczą zbędną i — jako taka — zgubną i odrażającą, wyrzekłem się jej natychmiast. Rzuciłem posadę i zdecydowałem się żyć z dnia na dzień, z tego co znajdę każdego dnia, jak ptaki. Ale opuściłem Florencję, umarłe miasto urzędników, miasto ludzi, któ-

rzy chcą mieć pewność. Posiadałem sto lir. Przyjechałem do Medjolanu.

Nie piszę tutaj powiastki dla zabawienia sklepiarzy; zostawiam te uwagi na użytek tych, którzy, mając skłonność do mądrości filozoficznej, nie umieli o własnych siłach znaleźć do niej drogi. Dlatego nie referuję zdarzeń, tylko przemiany myśli. Jestem jak geometra, który ciałom fizycznym odmawia wszelkiej wrażliwości i stara się wyłącznie o ustalenie matematycznych formuł ich rozmiarów. Mnie również zależy wyłącznie na wyłożeniu poszczególnych faz mojej idei, doprowadzając logicznie do ostatniego odkrycia, które dopiero w tej chwili zabłysło w moim umyśle, i które w tej ostatecznej godzinie pozostawiam światu ku jego pożytkowi.

Jest więc rzeczą zbyteczną, abym tu opowiadał, jak żyłem w Medjolanie w ciągu ostatnich ośmiu miesięcy, i jakimi sposobami zdobywałem z dnia na dzień to minimum, które człowiekowi wystarcza do życia; jak starannie i z powołaniem wystrzegałem się wszelkich pułapek, które złośliwy los zastawiał na moją niezależność, ofiarowując mi stałą i obowiązującą pracę wraz z zapewnionem jutrem.

Nie; w tej ostatniej godzinie stwierdzić mogę z dumą: żyłem od wielu miesięcy w stanie, który ludzie nazywają skrajną nędzą, ale w nieustannem, celowem poszukiwaniu prawdziwego, rozumnego błogostanu, ciągle dążąc do odkrycia złotego środka na linii szczęścia. I znalazłem.

To prawda, że postanowiłem umrzeć. Ale postanowiłem umrzeć dlatego, że już absolutnie nie mam z czego żyć: dziesięć soldów, które przeciętnie zbieram codziennie na rogu San Fedele, już nie może wystarczyć mojemu steranemu ciału. To jednak nie ma nic do rzeczy: żyć czy umrzeć — to sprawa drugorzędna: dokonałem ostatecznego odkrycia, i ustaliłem definitywną formułę szczęśliwości.

Było to nocą, onegdaj, w tej samej bramie co zwykle. Nie mogłem zasnąć; przemokłem do kości na jesiennym deszczu. Było mi bardzo zimno, szczerkałem zębami. Ogarnęła mnie lekka melancholja. Sam nie rozumiem dlaczego. Rozmyślałem o tem, że moja cudowna formuła o błogostanie umiarkowanym i złotym środku jest przecież jaknajściślejza; ale był jeszcze pewien punkt, który mi się nie wydawał całkiem jasny. Zagadnienie polegało na tem: jak, według jakich oznak może się człowiek upewnić, że się właśnie znajduje w owym złotym środku? Bo proszę: siedłem przecież ongi ciągle naprzód, a dnia pewnego spostrzegłem, że zaszedłem już zadaleko. Wtedy zacząłem się cofać, ciągle cofać, pilnie bacząc na miejsce, w którym się należy zatrzymać.

Czyżbym to miejsce znów minął — ale w przeciwnym kierunku? A może jeszcze zamącały mi spokój jakieś rzeczy zbędne? Nie, to już było niemożliwe. Rozmyślałem i drżałem, szczerkałem zębami coraz głośniejsze. Ale myśl przebiegła przytomnie swoją nieomylną drogę, i oto, promieniejąc, zabłysło wielkie odkrycie.

Wszedłem tu, tak wysoko, aby je ujawnić światu. To miejsce doskonale się też nadaje dla mojej śmierci.

W ciągu ostatnich dwóch dni zaoszczędziłem coś niecoś. Przedwczoraj była niedziela i zarobiłem więcej niż zwykle. Wczoraj rano byłem posiadaczem całych piętnastu soldów i rozdzieliłem je tak: pięć na papier, jeden na ołówek, cztery na chleb, i pięć za wejście tutaj. Za wejście na dach Katedry płaci się pięć soldów, byłem tu już dwadzieścia lat temu, w podróż poślubnej.

Krażyłem przez czas jakiś pośród tej całej bieli, wśród tych niepokalanych wycinanek, obrzeżonych światłem. Wyżej już nie wchodziłem. Na wejście wyżej trzeba mieć jeszcze pięć soldów. Zresztą wszedłszy wyżej widzi się cały Medjolan, i pola, i góry. A ja musiałem się skupić. Jestem tu, pośród tej bieli i całej tej jasności. Od wczoraj nie widzę nic innego, tylko te szeregi białych marmurów dokoła siebie, ze wszystkich stron. Nawet się stąd nie wychyliłem: wystarczy, gdy się wychyle w ostatniej chwili.

Zeslizgnałem się po jednej z pochyłych płyt posadzki i ukryłem się za wieżyczką. Nikt tedy nie przechodzi, nikt mnie nie zobaczył. Inaczej jeszcze wczoraj byliby mnie stąd wypędzili. Nie pomyślałem o wodzie. Pali mnie pragnienie, ale to wszystko jedno. Wczoraj wieczorem spostrzegłem że jest wieczór dopiero wtedy, kiedy zrobiło się ciemno. Cały dzień spędziłem na pisaniu tych wspomnień, potem spałem snem głębokim, spokojnym i pogodnym. Jestem teraz bardzo obolały. Obudził mnie wschód słońca: znów zacząłem pisać. W tej chwili wszystkie marmury są uwieńczone różami, a tam w oddali niebo wygląda jak roztopione złoto. I jest zimno.

Już tylko parę wierszy: najważniejsze. Oto moje ostateczne odkrycie; za pół godziny znajdą mnie tam na dole, na bruku, za kilka dni odnajdą te moje kartki, oparte o wieżyczkę: położę je tak, aby były dobrze widoczne. Oto więc przedziwne odkrycie, które zostawiam ludzkości, oto mój ostatni syllogizm:

— Dobro tego świata jest nieskończone. Zło tego świata jest również nieskończone. Żaden człowiek nie może na tej drodze zajść tak wysoko, aby ktoś inny nie posiadał więcej od niego; żaden nie może zejść tak nisko, aby ktoś inny nie posiadał mniej od niego. Droga szczęścia jest przeto linią nieskończoną.

„Ale na linii nieskończonej każdy punkt jest punktem środkowym, jest złotym środkiem. I szczęście znajduje się w tym punkcie.

„A zatem, ludzie, a zatem KAŻDY CZŁOWIEK JEST W KAŻDEJ CHWILI SWEGO ŻYCIA ZAWSZE I NAJZUPEŁNIEJ SZCZĘŚLIWY.

Każdy człowiek, w każdych warunkach, jest zawsze najzupełniej szczęśliwy. I ja byłem zawsze szczęśliwy. Również i w tej godzinie. Popelniam samobójstwo, bo nie mam z czego żyć; pozatem jestem chory, i umarłbym niedługo w każdym razie. Ale dowiodłem samemu sobie, że jestem szczęśliwy, że byłem zawsze szczęśliwy, że wszyscy ludzie są i muszą być — zawsze i tylko szczęśliwi. Ja jeden zdobyłem tak jasną tego świadomość — i z tych wyżyn ofiarowuję ją światu, żegnając go na zawsze.

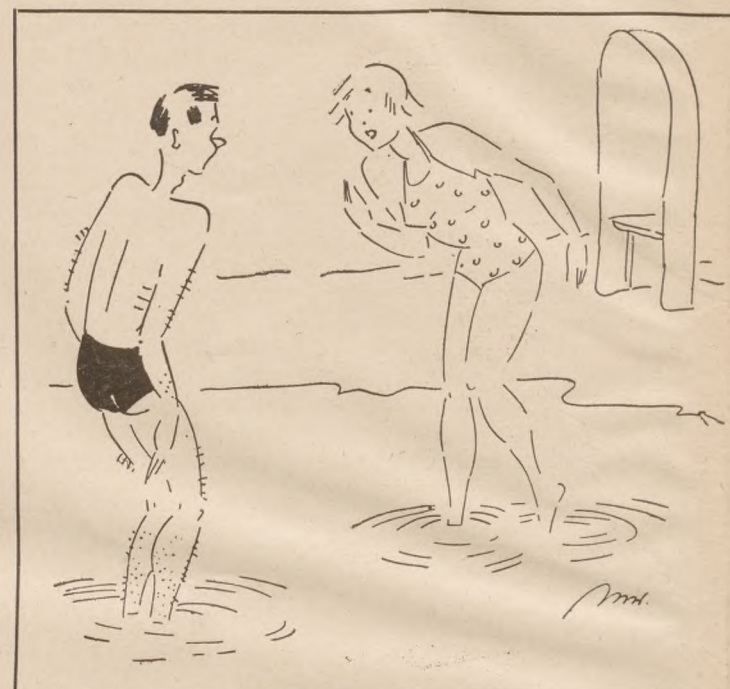


Skromna

... Czy nie uważasz, że ten kostium jest skandalicznie wycięty? Jabym czegoś podobnego nigdy...!

UROKI I PONĘTY PLAŻY

RYSUNKI MAŁGORZATY WAJCHTÓWNY



Bezbronna

Pan mnie obroni prawda? Bo gdyby naprzykład rekin...



„Taka mała...”



„Kochany łobuz”

... który z Wilków morskich chciałby wraz ze mną cieszyć się słońcem, życiem i pięknem przyrody, niech pisze do Wiśki-Marzycielki, Jastrzębia Góra, poste restante. Bezrobotni wykluczeni...



Troskliwa mateczka

... Dzieci, mamusia idzie na lody, jak które zacznie tonąć, to nie zapomnijcie mnie zawołać!



Sentymentalna

... Wie pan, dopiero w obliczu tego żywiołu czuję, jak małym pyłkiem jestem...



Człowiek złudzeń

... Namawiam Koteczka, żeby wszedł do wody, ale on ma tak mało życia w sobie...

Z harmonją, czy bez harmonji

(Korespondencja z Wiednia)

Kiedy patrzy się na Niemcy zewnątrz, wszystko jest „totalne“.

Zglejszachtowane, kolosalnie jednolite, bez skaz i szparek. Zapewne wiele zorganizowano „na mur“. Nawet jednak i tam w tym ultratotalizmie harmonja może kłócić się z dysonansem, jak o tym świadczy organ wyznawców, zwolenników i... posłuchaczy reżymu.

Nie chcemy przytaczać opinii i poglądów przeciwników hitlerizmu, notujemy jednak tylko dwa obrazki, wycięte z czołowego organu regime'u „Volkscher Beobachter“

Z okazji zmiany struktury administracyjnej Austrii, którą podzielono na siedem okręgów, przyczem nazwy prowincji Austrija Górna i Dolna zmieniono na Gau Oberdonau i Gau Unterdonau w numerze urzędówki hitlerowskiej z dnia 26-go maja r. b. znalazł się artykuł, którego wymowa jest aż nadto wyraźna. Autor artykułiku p. Walter Schmitt tak tłumaczy mianowanie nowych Gauleiterów, odpowiadających naszym województwom:

„Od chwili auschlusu władza w poszczególnych prowincjach spoczywała w rękach tymczasowych organizacyj partyjnych, które teraz zostały zmienione. Specjalne warunki walki z systemem Schuschnigga uniemożliwiały branie udziału w ruchu nielegalnym ludziom, którzy ponosili odpowiedzialność za jego rozwój. Dzięki temu niektóre koła starych towarzyszy partyjnych mylnie ujmowały faktyczną sytuację. Teraz Führer na czele poszczególnych okręgów austriackich postawił swoich najbardziej zaufanych i każdy narodowy socjalista zdaje sobie sprawę, że wybór został dokonany najlepszy“.

Pięknie, cudownie. Okazuje się więc, że nie wszystko jest, albo przynajmniej było w takim idealnym porządku. Że trzeba było zrobić wśród swoich „czystkę“. Mylnie ujmowali „faktyczną sytuację“. Szkoda tylko, że „Völkischer Beobachter“ nie mówi o tem, na czem te porządki polegały. Może prosto na tem, że austriaccy narodowi socjaliści jednak nie w pełnych stu procentach byli hitlerowcami, że za mało się cieszą z utraty niepodległości swojej byłej ojczyzny...

* * *

W tym samym numerze mamy sprawozdanie z wystawy „Wynaturzona muzyka“ otwartej przed kilkoma dniami w Düsseldorfie. Zainauguował ją słowem wstępnym niejaki p. Severus Ziegler. P. Ziegler oświadczył na wstępie, że muzyka przedhitlerowska była istnym sabbatem czarownic, karygodnym schlebieniem bolszewizmowi. Dlaczego? Niewiadomo. Bo sam pan Ziegler podkreślił w dalszym ciągu swej mowy, że

zademonstrowanie, jak to muzyka przedhitlerowska niszczyła kulturę niemiecką jest trudne, ze względu na brak... plastycznego materiału. W tem miejscu wydało się jednak p. Zieglerowi, że musi czemś poprzeć wywody swoje o wynaturzonej muzyce. Więc zakończył swoją orację tak: największą zbrodnią muzyki przedhitlerowskiej była atonalność, przeciwstawiająca się tonalności. Atonalność była podstawą teorii o harmonji, wynalezionej przez żyda Arnolda

Schönberga, wobec tego oświadczam, że jest to produkt ducha żydowskiego. Kto jest zwolennikiem szkoły Beethovena, ten musi się odżegnać od żyda Schönberga“.

Ten wywód będący wzorem przejrystości myśli, ta cała wystawa, na której brak materiału plastycznego, są dowodem, że nie tylko w polityce Trzeciej Rzeszy brak harmonji. Nie ma jej nawet w muzyce. Wszędzie straszą upiory...

Wspomnienie o Anieli Hoene-Przesmyckiej

Dobrze znana z całkowitego oddania się wychowaniu młodzieży w najcięższej epoce narodowego trwania, mniej znana była—albo wcale nieznana—jako dziewczeczka pięknych tradycji rodzinnych, które przechowywała z wielkim pietyzmem i surową godnością. W osobie zmarłej najściślej bowiem wiązały się nici genealogiczne prastarej rodziny węgiersko-szwedzko-polskiej Burchard-Belavary'ch z odroślami rodzin hr. Wo-



Ś. p. Aniela Hoene-Przesmycka

jakowskich, Delbec'ów, Hoenów i Przesmyckich. Niech więc nam wolno będzie złożyć tę garść uwag historycznych na świeżym grobie, cichej wytrwałej bojowniczkii o polską szkołę.

Pamięć historyczna o rodzie rycerzy siedmiogrodzkich Bot na Sykawie i Belawarze sięga XII-go stulecia. Ród ten, sprzymierzony z Kasprem Békés (Biekiesz), rywalem Stefana Batorego do władzy w Siedmiogrodzie uchodzić musiał z Węgier po decydującem zwycięstwie Stefana. Jan Bot schronił się wówczas do Estonji Szwedzkiej pod nazwiskiem Burcharda i wkrótce uzyskał szlachectwo szwedzkie jako Jan (I) Burchard Belavary. Od niego to poczynając, najstarsi synowie rodu otrzymywali imię Jan (ostatni, Jan X, zmarł w 1891 r.).

Trzeci syn Jana V, Gottlieb Burchard - Belavary (1721 — 1759) pan na

Munnalas i Tormollen w Estonji założył linię trwającą do dziś na Węgrzech i we Francji. Syn jego, Jan Konrad Burchard był pradziadem ś. p. Anieli Przesmyckiej. Wychowany przez kuzyna w tradycji polskiej (choć brat jego ginie pod Oczakowem jako Rosjanin), żeni się w Warszawie z Zofją Krakus - Mayerin (r 1786). Jest on adjutantem Kościuszki i oddaje majątki swe na rzecz powstania, w którym ginie teść jego wraz z pięciu swymi synami. Umiera Jan Konrad w r. 1838 przeżywszy lat 90. Miał 3 synów i 2 córki.

Najstarszy, Jan-Karol, bierze udział w wojnach Napoleońskich i ginie w czasie kampanji moskiewskiej.

Drugi syn, Jan-Wilhelm, powraca na Węgry, w strony rodzinne Belavary'ch i bierze wraz z synami czynny udział w powstaniu 1848 r., formując pierwsze oddziały polskie do walki o wolność Węgier.

Trzeci syn, Konrad, początkowo oficer rosyjski odznaczony za dzielność szablą honorową, bierze udział w powstaniu 1830 r. Ranny pod Ostrołęką uchodzi do Turcji, poczem służy jako generał w armji Egipskiej; jest wielkorządcą Nubji. Ostatni okres życia spędza na młotwie na pustyni.

Starsza córka, Zofja Burchardówna jest jedną z najczynniejszych działaczek klubu patriotycznego Honoratka, bierze udział w fortyfikacjach Pragi, jest sanitariuszką. Życie kończy w zakonie we Francji.

Młodsza córka Jana-Konrada, Joanna-Karolina, wychodzi za Franciszka hr. Wojakowskiego, dziada ś. p. Anieli Przesmyckiej, kapitana czwartaków, odznaczonego legją honorową i złotym krzyżem wirtuti militari. Przeżył on większość bitew napoleońskich, był jednym z niedobitków z San Domingo, zginął — na szanecach Woli. Żona jego szła wraz z armją jako sanitariuszka. Pozostawiła córkę Joannę, która wyszła za Henryka Ludwika Hoene (bratanka wielkiego filozofa Hoene - Wrońskiego). Byli to rodzice ś. p. Anieli Przesmyckiej.

Ś. p. Aniela Przesmycka utrzymywała od najmłodszych lat żywy kontakt z rozrzuconymi po Europie członkami swej rodziny. Kochana też była wzruszająco, a nieubłagana śmierć okryła wszystkich członków rodziny grubą żałobą.

Zb. Z.

URLOP HUBERTA GARDY

POWIEŚĆ

— Tymczasem? — zwróciłem nań spojrzenie, w którym nie malowało się zbyt dużo przyjacielskich uczuć.

W tej chwili przerwało nam wejście rządcy. Na progu stanął żygenda.

— Słyszałem, że panowie mają jeszcze do mnie interes? — zagrzymiał tubalnym basem. — Ktoś po mnie przysyłał?

— Tak, chodzi nam jeszcze o parę dodatkowych pytań — wyjaśnił Klecki — ponieważ pan już tu jest, zaraz go przesłuchamy.

Żygenda atoli, nic nam nowego nie powiedział. O niczym nie wie, Piotra od rana nie widział, był przez cały czas w polu lub na folwarku i tak dalej. To też Klecki po paru minutach zwolnił go, nie komunikując o nowym morderstwie.

Wezwano Chmurę.

Był jak zwykle, opanowany i zimny. Zajął wskazane miejsce i w oczekiwaniu pytań, obojętnie wodził wzrokiem po pokoju.

— Proszę nam wyjaśnić parę kwestji, panie Chmura — zagaił stereotypowo Klecki. — Nie koniecznie mają one związek z śmiercią pana Kolskiego, odpowiedzi jednak, jakie pan nam udzieli, będą dla dochodzenia bardzo ważne.

— Proszę, niech pan pyta — odparł spokojnie Chmura.

— Gdzie pan był i co pan robił przez ostatnie pół godziny, powiedzmy, godzinę?

— Mniej więcej godzinę temu zwróciła się do mnie pani Malczykowa z prośbą o odprowadzenie jej do pokoju, gdzie pozostałem do czasu wezwania nas na dodatkowe przesłuchanie.

Mówił rzeczowo, widocznie dobierając słowa, by relacja wypadła możliwie ściśle.

— Czy wychodził pan z jej pokoju w przeciągu tego czasu?

— Nie, nie wychodziłem, odniosłem bowiem wrażenie że kobieta była bardzo wstrząśnięta nieoczekiwanym wypadkiem mego szefa i pragnęła czyjegós towarzystwa, to też pozostałem z nią. Rozmawialiśmy przeważnie o tym wypadku, aczkolwiek parokrotnie chciałem zmienić temat rozmowy na bardziej pogodny.

— Czy był ktoś, kto widział was razem?

Chmura zastanawiał się przez krótką chwilę, zanim odpowiedział:

— Owszem. Przypominam sobie że zaszedł do nas na krótko Zbyszek z jakimś interesem do pani Mal-

czykowej. Wyszedł zaraz, jednak widział mnie u niej. — Czy zdaje pan sobie sprawę dlaczego o to pytamy?

— Nie — skądże? — uniósł zlekka brwi do góry, mierząc Kleckiego zdziwionem spojrzeniem.

— Dlatego — proszę pana, że jakieś pół godziny temu został zamordowany Piotr.

— Co? — przerażenie odbiło się tylko w tym jednym słowie. Zaraz potem Zygmunt opanował się, robiąc już wrażenie, jakgdyby posłyszana wiadomość była z rodzaju zupełnie pospolitych.

— A to dopiero historia — zakończył równym głosem kiwając zlekka głową na boki.

Klecki przypatrywał mu się przez chwilę przenikliwie.

— Nie sędzę by informacja ta zbyttnio pana zaniepokoiła — wycedził.

— Przypuszczał pan że zemdleję? Chmura umiał zdobyć się na zimny, krótki uśmiech. Mogę pana jednak zapewnić, że nowina ta zrobiła na mnie najmniej straszne wrażenie niż, powiedzmy na panów.

— Nie wygląda pan na przerażonego.

— Czy dlatego mam być podejrzanym? — rzucił nonszalancko Zygmunt. — Czy atak hysterji dowodziłby mojej niewinności — jak się panu zdaje?

— Hm — mruknął Klecki, zbity cokolwiek z tropu szczerością młodego człowieka. Kiedy widział pan Piotra poraz ostatni?

— Bodaj że przy obiedzie. Tak, stwierdzam że później już go nie widziałem.

— Dziękuję panu — to wszystko — zakończył Klecki.

— No, macie! — rzucił poirytowany, gdy Chmura już wyszedł. — To samo co za pierwszym razem! Nikt nic nie wie, nic nie widział, nic nie może powiedzieć! Niech to diabli wezmą!... Z Kolskim to samo. Ostatni raz widziano go wieczorem, po kolacji, a później nikt nie może dać najmniejszej wskazówki, niczego, co było by dla nas podstawą do dalszej akcji!

— Pójdę i szepnę im na ucho, żeby każdy przygotował sobie jakąś wskazówkę dla komisarza — odezwał się poraz pierwszy doktor, dobrodusznym tonem.

— O, jeszcze nasz eskulap zabiera głos! — oburknał Klecki.

Nastąpiło zbadanie Zbyszka.

— No co, chłopcze — rzekł Klecki, kiedy ten, kręcąc się usiadł na krześle — widzimy się znowu?

A. SZYMKOWICZ

poleca

Staniczki, Lastexy,

Wspólna 33 m. 24,

po powrocie z Paryża

Pasy, gradehaltery,

telefon 9.23-93

na j n o w s z e:

(Prostotrzymacze)

— Ehm — mruknął chłopak jako całą odpowiedź.
— Czy wiesz poco ciebie wezwałem?
— Skądże mogę wiedzieć — burknął, łypiąc w moją stronę oczami.

— Czy zachodziłeś niedawno na górę, do babci?

— Ehm — kiwnął przytem głową, uważając śnać, że takie potwierdzenie jest wystarczające zupełnie.

— Więc tak, czy nie? — powtórzył pytanie komisarz, bardziej natęczywszy.

— No byłem, przecież mówię! — rzucił wyzywająco Zbyszek.

— I babcia była sama? Co robiła?

Chłopak jakiś czas patrzył z podejrzliwością na komisarza, a później uśmiech rozerwał mu szerokie usta. Sprawiało to wrażenie, że twarz raptownie rozdzieliła mu się poziomo na dwie części.

— Ale z pana morus, ho, ho!... — wypalił raptownie.

Omało nie parsknąłem śmiechem, widząc wyraz twarzy Kleckiego. Malowało się na niej zdumienie, zgorzelenie i wreszcie wyraz jakiejś nagłej tępoty. Mówi się o takich ludziach że „zbaranieli“. W tym wypadku było to najwłaściwsze określenie.

Nie znał przecież nieborak chłopca i nie wiedział do jakich wyskoków ten urwis jest zdolny.

— Jak to mam rozumieć smarkaczu? — warknął wreszcie.

— Jak pan chce! Podoba mi się pan! To się nazywa brać pod włos! „I babcia była sama, chłopcze!“ — przedrzeźnił Kleckiego.

— Ma tupet, niema co mówić — szepnął za moimi plecami lekarz.

— Nie wie pan co to za ziółko, doktorze — odparłem równie szeptem. Myśmy się już do niego potrafili przyzwyczaić.

Było widoczne, że komisarz nie wiedział jak go potraktować. W pierwszej chwili poczerwieniał gwałtownie i spodziewałem się że wybuchnie gniewem, ale potem kąty ust zadrgały mu lekko, gdyż tak jak i my, wyczuł komiczną stronę sytuacji. Wybrał jednak drogę pośrednią i spokojnie, jakgdyby nigdy nic, pytał dalej:

— Więc proszę, odpowiedz mi.

— Babcia nie była sama, bo był u niej pan Chmura.

— Po co chodziłeś do babci?

— Chciałem ją spytać czy mogę iść na łódkę.

— Postaraj się przypomnieć sobie teraz dokładnie: — kiedy i gdzie poraz ostatni widziałeś dzisiaj Piotra?

— Po obiedzie kręcił się po stołowym, tam go widziałem — rzucił prawie bez namysłu.

— Potem już nie?

— Nie.

— Możesz już iść — odprawił go Klecki.

— Jeszcze chciałbym coś powiedzieć — oświadczył nieoczekiwanie Zbyszek, posyłając mi znów porozumiewawcze spojrzenie jakgdyby chcąc zwrócić moją uwagę na ważność informacji, jaką miał do zakomunikowania.

— Cóż takiego? — zdziwiony komisarz, uniósł głowę z nad papierów.

— To, że wiem kto zamordował wuja Zenona.

— Coo?... słowo padło jak strzał, a przeciągle „o“ pozostało po nim jak echo.

Wisłą do morza statkami „VISTULI“



Regularna codzienna komunikacja z Warszawy via Tczew do Gdańska i Gdyni oraz do Puław, Kazimierza, Sandomierza i odwrotnie. Pośpieszne statki salonowe z kabinami 2 i 4 osobowymi. Restauracja. Bufet.

Codziennie 2-godzinne przejażdżki spacerowym statkiem „Bajka“.

W niedzielę i święta co pół godziny wycieczki statkiem do Młocin.

Odejdźcie statków z przystani wprost ul. Karowej.

Miejsca sypialne rezerwuje i informacji udziela Kasa Zamawiań „VISTULI“, Mazowiecka 12, tel. 216-31, codziennie od godz. 9 do 15, w soboty do 13.

Przyjemne — Tanie — Zdrowe — Wycieczki.

Nawet Garda poruszył się, zaciekawiony.

— Mówię chyba wyraźnie — Zbyszek wyduł usta — wiem kto zamordował.

Komisarz zmrużył ironicznie oczy i jakiś czas lustrował chłopaka.

— No proszę, my głowimy się nad tem od dobrych kilku godzin, a ty to wiesz... — cedził z wolna.

— A wiem... i jak pan będzie tak do mnie mówił, to nie powiem nic.

— I któż go zamordował — co?

— Mój korepetytor — Runo.

— Skądże to przypuszczenie? — komisarz nieprzystawał być ironicznie prowokacyjny.

— Bo w tą noc, kiedy wuj zginął, widziałem jak ukradkiem wymykał się z pokoju.

— To cóż z tego?

— Nie było go aż do czwartej rano. Mam czujny sen i zaraz się obudziłem. Udawałem, że śpię, ale widziałem na zegarku, bo było już widno.

— O której wychodził?

Zbyszek wykrzywił się w sposób nie do naśladowania.

— Zaraz, zastanowię się — powiedział z pełną powagą — mogła być chyba dwunasta, albo pierwsza. Myślę się najwyżej o pół godziny.

— Ubierał się?

— Tak. Naciągał buty, spodnie i marynarkę. Wszystko naturalnie zupełnie po cichu i ciągle spoglądał w moją stronę czy śpię.

— Widziałeś dokładnie?

— Tak. Księżyc świecił jasno. Przyglądałem mu się z pod kołdry, mrużąc oczy.

Przypominałem sobie uprzednie informacje Zbyszka o wycieczkach jego korepetytora, jednak nie odzywałem się, gdyż powtórzyłem tę wiadomość Gardzie i od niego już zależało czy zechce głębiej poruszać tę sprawę.

— Czemu nam tego nie powiedział poprzednio?

— Bo nie chciałem go wyspać.

— Teraz zmieniłeś zamiar?

— Tak. Mówiłem o tem z mamusią i ona kazała mi nie ukrywać tego przed wami.

— Powiedz mi — zabrał głos Hubert — skąd wiesz, że wuj Zenon zginął w nocy?

— Skąd wiem? — chłopak zmieszał się na chwilę, zaskoczony pytaniem. — Tak myślę, bo wszystkie morderstwa dzieją się przecież w nocy...



Ci dwaj czarodzieje...

sq do usług Pani. Jeden z nich
uzdrowia naskórek i konserwuje
go; drugi ozdabia twarz Pani
niezrównaną matową cerą.

CRÈME SIMON
CRÈME SIMON M.A.T.

PUDER SIMON
MYDŁO SIMON

— Znaleźliśmy go w dzień...
— Ale powiesili go napewno w nocy — upierał się przy swoim zdaniu.

— Niech będzie i tak. Dlaczego jednak mówisz „zamordowali go“, „powiesili go“? O ile sobie przypominam nikt z nas nie informował cię, że zaszło morderstwo. Wprost przeciwnie, zastanawialiśmy się nad powodami jego samobójstwa, nie przypuszczając zupełnie by mogło zajść morderstwo.

Zmieszanie chłopca było teraz zupełnie widoczne. Pociągnął najpierw nosem, potem wytarł go wierzchem dłoni, wreszcie strzelił z podelba oczami na Huberta i mruknął:

— Tak myślę.

— Na jakiej podstawie? Tylko mi tu nie kręć, bo nie mam czasu na żadne zabawy! — upomniał go ostro Garda.

— Słyszałem, jak babcia rozmawiała z mamusią.

— No, teraz rozumiem. Nie było co ukrywać — uspokoił go podstępnie Hubert. Możesz mi powtórzyć co mówiły?

— Mamusia mówiła do babci, że nikt nie jest taki naiwny, by mógł przypuszczać, że zaszło samobójstwo.

— Co na to odpowiedziała babcia?

— Zgodziła się z mamusią.

— Co więcej mówiły?

— Więcej nic. Babcia zaczęła opowiadać mamusi o podobnym wypadku, który zdarzył się dawniej.

— Gdzie rozmawiały?

— Na werandzie.

— Widziały ciebie?

— Nie wiem, ale myślę że nie.

Ponieważ Garda nie miał już więcej pytań, Zbyszek został zwolniony.

Władze postanowiły przesłuchać Runa jako ostatniego, to też po chłopcu zeznawała jego matka, nie wnosząc nic nowego do sprawy.

Piotra nie widziała od czasu obiadu, a na wiadomość o jego śmierci, omal nie zemdlą. Łyk wody podany przez usłużnego protokolanta i parę ostrych słów Kleckiego, uratowały jednak sytuację, aczkolwie do końca już była przybita.

Alibi nie miała, gdyż cały czas siedziała u siebie. Tak w streszczeniu przedstawiało się przesłuchanie Lukrecji.

(D. c. n.).

OD ADMINISTRACJI

**Czas odnowić prenumeratę
za miesiąc lipiec i kwartał III-ci**

Puder
SUDORYN
AP. KOWALSKI
*usuwa
radykałnie*
POT: WOŃ

BEZ BÓLU
SKUTECZNIE
USUWA
ODCISKI
BRÓDAWKI
I ZGRUBIENIA
SKÓRY
PŁYN
KLAWIOL
AP. KOWALSKI

*nie ma
lepszego*
POŁONIA
ostrya
-POLONIA-

ŚWIAT TEATRU

TEATR LETNI. „Nie trzeba było mnie przejeżdżać”.

Oj, nie trzeba. Ma to być farsa o dawnym typie. Może? Może w atmosferze Paryża, bez pewnych niedociągnięć tłumaczenia i przeciągnięć, przeszarżowań gry, mogło to mieć jakiś sens nad Sekwaną. Gavroche paryski był niewątpliwie lekki. Dymsha w roli przejechanego, to typowy „nadwiślanin“, kombinator, ciągnący tylko forszę ze szczęśliwej sytuacji. Jest zabawny, komiczny, rubaszny knajak, więc publiczność „boki zrywa“. To jest jedyny sens wystawiania tej „komedji“, czy farsy, czy wydłużonego skeczu cyrkowego. Jest pełno. Teatr trzeszczy od rżącego śmiechu. Dymsha, król przedmieścia, króluje. Ale w tym utworu niema finezji, ani filuterności tego świetnego komika. Efekty są, powodzenie jest, Dymsha się może nawet sam bawi — ale ta płaskość to nie jego rodzaj. Wykonawcy? Mój Boże — odwalają pańszczyznę dowcipów: Ola Leszczyńska, Balcerkiewiczówna, Gellówna, Grabowski, Krawczyński — cały zespół. Pracują w poście... śmiechu.



Magda Radłowska, młodociana adepta tańca scenicznego, zyskała sobie sympatję publiczności i wykazała duże zdolności, technikę i temperament, na popisie uczenie p. J. Mieczysławskiej.

Z KONSERWATORIUM WARSZAWSKIEGO

Janina Skomorowska, utalentowana laureatka klasy skrzypcowej prof. W. Kochańskiego, występem swoim w sali Filharmonji Warszawskiej na dorocznym popisie, zdobyła wielkie uznanie krytyki.



JULJUSZ WIRSKI

znany i ceniony feljetonista i poeta-liryk, ukończył swą nową sztukę p. t. „Portret Generala“. Jak się dowiadujemy sztuka została przyjęta do teatru Narodowego i ma niedługo wejść na afisz.

Sądząc z dotychczasowej działalności poetyckiej autora, można się spodziewać, że wystawienie sztuki „Portret Generala“ będzie interesującym wydarzeniem artystycznym nadchodzącego sezonu.

Z nowych wydawnictw

Mazo de la Roche. „Rodzina Whiteoaków“, tom I. tłum. H. Gondekovej. Wydawnictwo Inst. Wyd. „Lektura“. 1938. Cena zł. 8.

Powieść „Rodzina Whiteoaków“ o szerokim podkładzie epickim, należy do utworów zasługujących na tłumaczenie i jaknajszersze rozpowszechnienie wśród czytelników (fragment z tej powieści widzieliśmy w ubiegłym sezonie na scenie p. t. „Miła Rodzinka“).

Jest to powieść obyczajowa, zakrojona na szeroką skalę, kreśląca w sposób nadzwyczaj plastyczny i barwny dzieje całego rodu, zasiedzialego od wieków na żyznych obszarach Ameryki. — Tło, środowisko, obyczajowość odmalował autor po mistrzowsku, rywalizując z twórcą „Sagi Rodu Forsytów“. Poszczególne sylwetki zarysowane mocno, zwarcie, jakby wyciosane w kamieniu. Mimo, że książka jest przekładem, wyczuwa się giętkość i potoczność języka oryginału i artystyczną umiejętność posługiwania się nim.

Nadzwyczajnie interesująca fabuła jako dodatek do prawdziwie artystycznych walorów książki, powinna jej zapewnić wielkie powodzenie.

Przekład poprawny — strona zewnętrzna estetyczna. Wśród zalewu bez-

wartościowych lichych powieści, tłumaczonych językiem, wołającym nieraz o pomstę do Boga — wydanie wyżej omówionej powieści jest zjawiskiem godnym podkreślenia.

Następne tomy ukażą się niebawem.

Anna Borowikowa. „Studnie na ulicy“. Nakł. „Pion“. Warszawa 1938.

Powieść zaliczyć należy do wysokiej klasy utworów, dzięki równowadze między elementami formy i treści, dzięki umiarowi artystycznemu zarówno w obróbce materiału, jak i w kompozycji dzieła.

Monotonne ciasne i pozornie bezbarwne życie małego miasta, które w przekroju pokazuje nam autorka w „Studniach na ulicy“ staje się tematem żywym i barwnym.

Dzięki wnikliwej charakterystyce, postaci powieści wydają się nam żywymi ludźmi, różnych klas społecznych — od żydowskiego patrycjatu do bezrobotnych resz robotniczych włącznie. Autorka umieściła barwne, plastyczne opisy wydarzeń jakie poruszyć musiały umysły do powszedniości nawykłe, w sposób, świadczący o dużej kulturze literackiej. Nie ulega wątpliwości, że powieść „Studnie na ulicy“ cieszyć się będzie dużą poczytnością i uznaniem krytyki i czytelników.

DZIEJE TEATRU W POLSCE

Spełniwszy tyle, mógł Bogusławski ze spokojnem sumieniem nosić urzędownie mu nadany tytuł: „dobrego obywatela“, który też później na grobie jego wyryto.

Po usunięciu się ojca sceny polskiej, teatr potrzebował już tylko iść dalej drogą uitorowaną przez swego założyciela. Entrepryzę Osińskiego poprzedziło 19 widowisk, danych przez samych aktorów na własną rękę, poczem objął rządy zięć Bogusławskiego i sprawował je przez lat 12 do 1826 roku, w warunkach o tyle korzystniejszych, że dzięki staraniom Bogusławskiego, teatr miał już zapewnione poparcie oficjalne; dekretem bowiem Fryderyka Augusta, księcia warszawskiego, wydanym w Dreźnie w kwietniu 1810 r. wyznaczoną została z ramienia ministra spraw wewnętrznych Łuszczewskiego, dyrektora *dyrekcja rządowa*, którą składali: *Jakób Adamczewski*, regent rady stanu i ministrów; *Ignacy Szczerkowski* sekretarz rady ministrów, *Aleksander hr. Chodkiewicz*, członek Towarzystwa królewskiego przyjaciół nauk, *Fryderyk Brzeziński* komisarz prefektury departamentu warszawskiego, *Wojciech Bogusławski* funkcjonujący jeszcze podówczas *entreprenier* teatru Narodowego, *Juljan Ursyn Niemcewicz* prezes dyrekcji i *Baliński* sekretarz ministerjum spraw wewnętrznych a zarazem sekretarz dyrekcji.

Moralnie zyskała *entrepryza* wiele, zdobywszy tą opieką znaczenie instytucji dojrzałej; artystycznie zapewniła sobie przyszłość spełniając zastrzeżony umową z rządem warunek ufundowania szkoły dramatycznej.

Otwarcie tej szkoły dramatycznej odbyło się w r. 1811 w sali reutowej, w obecności prezesa rady stanu, senatora wojewody Stanisława Potockiego i wielu znakomitych osób, o czem już pisałem. Niemcewicz zagał posiedzenie, następnie, sekretarz dyrekcji odczytał rozkład nauk, rozdzielonych między następujących nauczycieli: religii, moralności i historii świętej — Ks. Jan Podbielski; muzyki i śpiewu Tański (później Kurpiński); historii i gramatyki polskiej — Franciszek Jasiński; języka francuskiego — Józef Zieliński; niemieckiego — Welke; tańca — Pinetti. Nauka podzielona była na kurs trzyletni; wykład deklamacji i wyższych przedmiotów zapowiedziano na następne lata w miarę zebranych funduszy. Literaturę uczył później Osiński, dramatyki Kudlicz. Pierwsze złote medale „za pilność“ otrzymali już w r. 1812 z rąk ordynata Zamoyskiego: Szymon Włodek i Karolina Brzowska.

O powadze, którą cieszył się naówczas stojący już na silnych podstawach, teatr polski, odzywa się głos Antoniego Lesznowskiego w „Gazecie Warszawskiej“.

„Scena stworzona przez Bogusławskiego stanowiła moralne ciało ściśle splecione z potrzebami społeczności. Środki bytu materialnego były niestałe, wahające się, zależnie od różnych wpływów, okoliczności i wypadków; ale talentami jakie wydawała współzuciem jakie wzbudziła w powszechności, świadczyła o żywotności swych zasobów.

Gasło już i przebrzmiało owo pierwsze pokolenie wielkich artystów dramatycznych... Umilkł na scenie potężny głos Owińskiego. Truskolaska kończyła zawód pełen sławy; nie rozlegał się już wśród sali śmiech Świerzawskiego, a Hempiński, znakomity komik, usunął się ze sceny. Ale teatr miał wkrótce odżyć w nowym pokoleniu artystów. I patrzcie! ze wschodem nowego wieku talenta się odradzają... Srebrny metaliczny głos Szymanowskiego odzywa się — to następca Owińskiego; panna Truskolaska odziedzicza talent swej matki i tragedia odbudowana na scenie.

A na przodzie, patrzcie na tę postać. Śmiech, żart, dowcip strzela z każdego muskułu, z każdego jej gestu, to autor „Momusa“, to następca Świerzawskich i Hempińskich to *Żółkowski*.

Patrzcie dalej; któż to ten młody artysta, co i łyż z oczu umie wyciskać i śmiech pusty na ustach rozbudzić? kogoż to natura uposażyła tak hojnie zbiorowym, podwójnym: komicznym i tragicznym namaszczając go talentem? To Kudlicz.

A wśród wszystkich tych talentów wznosi się sędziwa postać założyciela sceny, Bogusławskiego. Głos mentora kieruje całą tą rzeszą, utrzymuje lub roznieca wszystkie te młode uczucia, popędy, natchnienia, przewodzi tym szlachetnym chęciom i wskazuje im prostą drogę wśród krętych manowców sztuki“.

Jaką była ta droga? — o tem sądzić można tylko ze świadectw współczesnych i z własnych Bogusławskiego zdań o sztuce. Źródła te dostarczają wskazówek, że ojciec teatru, jako aktor, wzorował się przede wszystkim na szkole francuskiej.

Cudzoziemiec Säume w tych słowach charakteryzuje artystę: „Znałem go jako siedemdziesięcioletniego starca. Był to człowiek mimo wieku pięknie wyglądający, wykształcony, wytwornych manier i tak

Dbajcie o swoje zdrowie!

Przy chorobach: ŻOŁĄDKA, KISZKA, WĄTROBY, przy KAMIENIACH ŻÓLCIOWYCH, WZDĘCIU BRZUCHA ODBIJANIU SIĘ, LUB SKŁONNOŚCIACH DO ZAPARCIA, stosuje się: „SZWAJCARSKIE GORZKIE ZIOŁA“ Gąseckiego, naturalny, łagodny środek przeczyszczający, ułatwiający funkcje organów trawienia, stosowane również przy nadmiarze otyłości.



Nigdy nie jest zapóźno

myśleć o zdrowiu, tym bardziej, jeżeli cierpisz na chorobę: nerek, pęcherza, wątroby, kamieni żółciowych, złej przemiany materji, na bóle artretyczne, czy podagryczne, wzdęcia brzucha, odbijanie się lub skłonności do obstrukcji. Pamiętaj, że nigdy nie będzie za późno, o ile używać będziesz ziół moczopędnych „DIUROL“ Gąseckiego, które zapobiegają nagromadzeniu się kwasu moczowego i innych substancji zatrzymujących organizm. — Dziś jeszcze kup pudełeczko ziół „DIUROL“ Gąseckiego, a gdy przekonasz się o dodatnich skutkach ich działania zalecać będziesz swym znajomym.

Sposób użycia na opakowaniu. — Oryginalne zioła „DIUROL“ Gąseckiego (z kogutkiem) sprzedają apteki i składy apteczne.



od Gdyni

Z KUCHENKA „EMES” NA LETNISKÓ



do Zaleszczyk

jeszcze krzepki, że w ciągu jednego tygodnia grał „Leara” i „Axura”. W grze był widocznie zwolennikiem dawnej francuskiej tragedji. Jakkolwiek po jego śmierci sztuka aktorska postąpiła w Warszawie

i niewiele się dziś różni od sposobu grania nowoczesnych Francuzów, to przecież nie ulega wątpliwości, że Bogusławski stworzył na polskiej scenie szkołę, wystawiającą poetyczne dzieła z wielką godnością”.

Trudno lepiej scharakteryzować kierunek, który z natury rzeczy musiał panować na teatrze Narodowym, jeżeli sięgniemy do właściwych jego początków. Nakwaska pisze, że księżna Czartoryska uczyła Truskolaską jak grała tragedję panna Clairon i dodaje, że matka przekazała tę tradycję córce, późniejszej Ledóchowskiej, która grała równie dobrze Andromakę, Alzyrę jak i panią Miller w „Nienawiść ludzi i żal” i którą Anglicy stawiali talentem obok mistress Siddons. Bogusławski patrzył u księdza biskupa na widowiska francuskie, a prawdopodobnie sam w nich pierwszy raz się próbował; studja z Montbrunem szły naturalnie w tym kierunku, wreszcie zetknięcie z towarzystwami francuskimi, już skutkiem rasowych sympatji silniej działać musiało na Bogusławskiego i na jego rzeszę, aniżeli niemiecka, choćby nawet dobrze reprezentowana sztuka aktorska. Przyczynkiem do tych danych mogą być również wzmianki i zdania, rozproszone w kilkunastu życiorysach aktorów i aktorek ówczesnych, dołączonych do niektórych tomów dzieł Bogusławskiego. Nie szukajmy w tych życiorysach krytyki w dzisiejszym znaczeniu. Bogusławski nie był krytykiem i być nie mógł, bo należał już w polowie do epoki, która mała się stać nawskróś twórczą: „Emilja Galotti” prędzej weszła do repertuaru polskiego, aniżeli Dramaturgja Lessinga do krytyki polskiej, ale uwagi jego i spostrzeżenia natury czysto praktycznej, aktorskiej, pozwalają wnosić, że szkoła Talmy i panny Mars w tragedji odzywała się wyraźnymi oddźwiękami w teatrze narodowym, który znów w komedji najbliższym być musiał tradycji Molière’a.

(D. c. n.).

Ulgowe kupony „Świata” do Teatrów Niezależnych

Teatr Malickiej

pod dyr. Z. Sawana
Karowa 18. Tel. 5-29-99

KUPON „ŚWIATA”

ważny od 1. VII do 7. VII
upoważniający do nabycia 2-ch biletów
ulgowych

z 40% zniżką

ważny codziennie o 8-ej (również w soboty i święta) a w niedzielę nadto o 4-ej ppł. w kasie teatru cały dzień bez przerwy od 11-ej rano do 8-ej w.

Teatr „8.15” Śniadeckich 5

Tel. 7-00-26

KUPON „ŚWIATA”

ważny od 1. VII do 7. VII
upoważniający do nabycia 2-ch biletów
ulgowych

z 40% zniżką

(prócz sobót i świąt) w kasie teatru
od 11 — 2 i od 5-ej ppł.
do 8-ej w. na wszystkie miejsca

SÓL do NÓG

AGEPIN

Z KOGUTKIEM

usuwa ból, pieczenie, nabrzmienie nóg, zmiękcza odciski, które po tej kąpieli dają się usunąć, nawet paznokciem. Przepis użycia na opakowaniu.

REDAKCJA i ADMINISTRACJA: Warszawa, Nowy Świat 26. Telefon 5-04-00. Konto w P.K.O. Nr. 3755

Lista rozrachunkowa urzędu pocztowego Nr. 39.

Administracja otwarta codziennie z wyjątkiem świąt, niedziel od godziny 11 do 3 pp.

Redakcja we czwartki, piątki i soboty od godziny 10 — 13 pp. Redaktor naczelny przyjmuje w czwartki od godz. 11 — 1 pp. tylko po uprzednim porozumieniu się z sekretarjatem. Telefon 2-10-87. Rękopisów Redakcja nie zwraca.

WARUNKI PRENUMERATY: Odb. na miejscu miesięcznie zł. 5.—. Kw. zł. 13.50 gr., z odnosz. do domu mies. zł. 5.50 gr. kw. zł. 15.—. Zamiejscowa mies. zł. 6.—, kw. zł. 16.20 gr. Zagraniczna mies. zł. 8.—, kw. zł. 21.60 gr.

Każdy prenumerator otrzymuje co miesiąc cenne premium książkowe wartości księgarskiej 5 do 6 zł.



Miss Patricia Farr
 holduje widocznie ha-
 słu: „wygodnie, prak-
 tycznie i... oryginal-
 nie“. Widzimy ją od-
 poczywającą w fote-
 lu - wózku, a może to
 plażowa budka prze-
 nośna? W każdym ra-
 zie niezwykle... „lokal
 wypoczynkowy“!

Fot. Columbia
 Pictures.

ŚWIAT FILMU

HYGIENICZNE BŁOTO DLA GWIAZD FILMOWYCH.

Słynna wytwórnia kosmetyków w
 Hollywood, założona i prowadzona od

lat przez Maxa Factora, wypuściła na
 rynek nowy preparat. Jest to higienicz-
 ne błoto, używane specjalnie do scen, w
 których dany aktor lub aktorka ulegają
 niefortunnej przygodzie, jakie często
 zdarzają się w komedjach filmowych.
 Błoto to sporządza się z przesiewanego
 piasku rzeczno i specjalnych substan-
 cji antyseptycznych, usuwających wszel-
 kie niebezpieczeństwo infekcji na wy-
 padek, gdyby aktor upadając uległ zra-
 nieniu.

Sztuczne błoto Maxa Factora zasto-
 sowała po raz pierwszy w praktyce wy-
 twórnia Paramount przy nakręcaniu
 najnowszego filmu Harolda Lloyd'a „O-
 strożnie profesorze“. Film ten, od daw-
 na oczekiwany przez wielbicieli słynne-
 go komika jest już ukończony i będzie
 na jesieni b. roku wyświetlany na ekr-
 nach Polski.

PROSZKI
 „MIGREND-NEUROSIN“

Kogutek

ZASTOSOWANIE:
**GRYPA, PRZEZIĘBIENIE
 BÓLE GŁOWY, ZĘBÓW i t.p.**

Żądacie oryginalnych proszków ze zn. fabry. „KOGUTEK“
 GĄSECKIEGO
 tylko w opakowaniu higienicznym w **TOREBKACH**

PUDRY, SZMINKI,
 WODY KWIATOWE,
 PERFUMY

Szach

WARSZAWA

GIN
 TOI - GRI
 TOI ET MOI
TROCADERO
 WODA LAWENDOWA
 WODA KOŁONSKA POLONAISE.

...a plegów
 niema

trochę
 łagodnego
 kremu
 i już po
 plegach.
 Ten krem to

PRECIOZA
 PERFECTION

Proszek od **BOLU GŁOWY**
 DLA DOROSŁYCH ZE ZN. FABR.

KOWALSKINA
 stosuje się również

**PRZY PRZEZIĘBIENIU
 GRYPIE I KATARZE**

WYTWÓRNY
PUDER

GELOBIL
 WARSZAWA

KREM
ODŻYWCZY

ŻĄDAJCIE *najwyraźniej* **tylko: „OLLA“ GUM...!**

ŚWIAT FILMU

Z ŻYCIA „GWIAZD” HOLLYWOODZKICH



Rozrywka...



i praca

OLYMPE BRADNA I GENE RAYMOND.

Młoda, nieznana nikomu aktorka debiutowała niedawno w filmie „Kapitan Taylor”. Debiut był tak świetny, „prasa” tak entuzjastyczna, że młoda aktoreczka stała się w ciągu jednego dnia gwiazdą. Wielkie talenty mają to do siebie, że objawiają się nagle. Podobnie było z Deanną Durbin, która po pierwszym filmie stała się ulubienicą publiczności.

Olympe Bradna jest obecnie najbardziej obiecującym talentem Ameryki. Posiada ona ten sam wdzięk, który przed kilkunastu laty objawił się w postaci Mary Pickford, a przed kilku laty w postaci Clary Bow. Bradna gra obecnie

główną rolę w filmie „Wykolejency” wraz z Gene Raymondem i Lewisem Stone.

Jest ona francuską z pochodzenia i do Ameryki przybyła niedawno. Film „Wykolejency” w którym wystąpi w głównej roli, posiada niezwykle ciekawy scenariusz, wspaniałą muzykę i będzie niezawodnie jednym z przebojów nadchodzącego sezonu.



Magazyny detaliczne

Nowy - Świat 40, Marszałkowska 102,
Chmielna 33, Marszałkowska 56 i 154

ANNA MAY WONG.

Anna May Wong jest chińką. Urodziła się jednak w Los Angeles dokąd przed laty wyemigrowali jej rodzice. Mała chińska uczęszczała do szkół w San Francisco, i po ukończeniu edukacji pragnęła rozpocząć karierę artystyczną. Występowała kolejno w różnych teatry-

kach, oraz jako statystka w niektórych filmach. Jej egzotyczna uroda zwróciła uwagę producentów filmowych i w ko-



cu Anna May Wong została pasowana na gwiazdę. Ostatnio realizowała ona film p. t. „Córka Szanghaju”, który jest jednym z najlepszych w jej karierze. Film osnuto na tle masowego przemytu ludzi do Ameryki. Niezwykle realistycznie przedstawiono w filmie kulisy przemytu „żywego towaru” z całego świata do Kalifornii, oraz nieubłaganą walkę, jaką prowadzi policja z tym nowoczesnym handlem niewolnikami.



NADAJE CERZE PANI ŚWIE-
ŻOŚĆ I POWAB MŁODOŚCI.
JEST ON NAJPEWNIJSZYM
SPRZYMIERZENCEM
URODY I POWODZENIA.